

„Magiczny owoc”

Cześć! Mam na imię Simon i dziś opowiem Ci historię nie z tej ziemi.

Pewnego wiosennego dnia, a było to już dosyć dawno, gdy byłem małym chłopcem, wraz z rodzicami i babcią przechadzaliśmy się nieraz po budzącej się do życia łące. Rosły tam drzewa czereśniowe a na nich tak dojrzałe, a zarazem soczyste czereśnie. Wręcz rozplływały się w ustach, niczym moje ulubione landrynki. Czuć było powiew wiosennego wietrzyku, który był tak ciepły i kojący. Porywaliśmy bawełniany koc i potrafiliśmy przesiedzieć tam cały dzień, słuchając śpiewu ptaków i wdychając zapach rozkwitających kwiatów. Wcześniej nie zwracałem uwagi na jeden intrygujący szczegół do pewnego czasu... Tym detalem był tajemniczy owoc rosnący tuż przy czubku jednego z drzew. Krążyła o nim pewna opowieść, którą niegdyś przytoczył mi tata. Była to legenda mówiąca o tym, że jeszcze nikomu nie udało się go zerwać, chociaż niejedni śmiało próbowali. Dojrzewał tam już przez około 200lat. Drzewo, na którym rośnie, zasadził pewien podróżnik o imieniu Jack. Był on człowiekiem niezwykle szalonym, dosłownie dziwnym. Nie posiadał własnego domu, potomstwa ani rodziny. Nawet się o to nie starał i wiódł życie na pozór normalne. Tam gdzie go nogi poniosły, tam zmierzał. Nasionko drzewa zdobył poprzez bitwę z wielkim krasnałem ogrodowym. Może to brzmi niebywale, ale tak właśnie było... Pytanie tylko jak je zdobył? Krasnal był przecież tak wielki, wręcz ogromny. Jednak osiłek został okiełznany przez mężczyznę. Zaś nasionko, które zdobył, służyło jako jego serce. Opowiadka głosi, że ten kto zje magiczny owoc, otrzyma niepowtarzalną moc jakiej nie posiadał jeszcze nikt w całym wszechświecie, nawet ufoludki z Marsa. Moim celem stało się jego zdobycie. Byłem małym chłopcem, miałem raptem z 5 lat, więc zadanie nie było tak łatwe. Starłem się jak mogłem przez całe 3 lata, lecz bez zamierzonego skutku. W końcu postanowiłem się poddać i po prostu o tym zapomnieć. Żyłem całkiem zwyczajnie... Szkoła, dom i spotkania z kolegami z podwórka. Któregoś dnia postanowiłem wybrać się tam ponownie, aby powspominać stare, dobre czasy... aby przypomnieć sobie jak to było mieć babcię obok... Zmarła jedynie 2 miesiące temu. Byłem jej ukochanym wnuczkiem, któremu poświęcała mnóstwo czasu. To zdarzenie niezmiernie wstrząsnęło całą naszą rodziną. Nawet wujaszek Hudson pojawił się na pogrzebie, mimo sporów z dawnych lat i długoletniego braku kontaktu. Położyłem się na pokrytej poranną rosą trawie. Spoglądałem rozmarzony w niebo. Było niemalże bezchmurne, aczkolwiek można było dostrzec parę mniejszych kłębuszków przypominających przeróżne śmieszne kształty. Z moich oczu momentalnie popłynęły łzy. Przypomniałem sobie wszystkie spędzone chwile z babcią. A było ich wiele.

Jeden z obłoków upodabniał się do krasnala. Przez co przypominałem sobie tę anegdotę. Podniosłem się, usiadłem i zacząłem rozglądać się dookoła. Wcale nie musiałem się zbytnio wysilać. Stało tuż kilka metrów przede mną. Wstałem, otrzepując się z ziemi, po czym podszedłem do drzewa. Zerknąłem w poszukiwaniu magicznego owocu. Wróciły wspomnienia, wszystkie starania. Tam gdzie kilka lat temu... Wymykanie się z domu, siniaki, zdarte kolana oraz pot na czole, a także niesłychane zmęczenie. Marzenie odżyło w moim sercu. Byłem już dużym chłopcem mającym 14 lat. Jak na swój wiek byłem dosyć wysoki, gdyż miałem 170 cm wzrostu. Zacząłem się wdrapywać. Byłem coraz wyżej i wyżej, gałąź za gałęzią, metr za metrem wspinałem się, aż w końcu dotarłem do celu. Sięgnąłem ręką i wnet zerwałem owoc. Tkwiłem tam okropnie zmęczony, a zarazem nadzwyczaj szczęśliwy. Był większy niż myślałem. Przypominał z wyglądu trochę arbuza tylko był złoto-srebrny. Zszedłem na dół, po czym wyjąłem z plecaka ostry scyzoryk, który podarował mi dziadek. Nożykiem przekroiłem tę złoto-srebrną kulę. W środku wyglądała identycznie jak awokado, przez co miałem jeszcze większą ochotę ją zjeść. Wziąłem kawałek do buzi. Na początku poczułem gorycz, mimo tego nie wyplułem. Jednak po kilku sekundach poczułem smak jakiego nigdy nie miałem możliwości spróbować. Była to mieszanka kilku znanych mi wcześniej smaków. Po 15 minutach nie było już ani kawałka. Robiło się już ciemno, a zarazem chłodno. Postanowiłem powrócić do swojego domu. W drodze mama zadzwoniła do mnie zmartwiona. Spytała, gdzie jestem i kazała mi wracać. Wróciłem do domu i wykończony przeżyciami dzisiejszego dnia, zasnąłem wtulony w pluszowego misia.

Obudziłem się zdezorientowany na stercie liści. Nie miałem pojęcia, co się ze mną właśnie dzieje. Może to tylko fantastyczny sen. Widocznie nad wyraz realistyczny. Pewnie zaraz obudzą mnie promienie słońca. Mama zawoła mnie na śniadanie i poda przepyszne naleśniki z czekoladą. Zamknę oczy i sen się skończy. Otworzyłem je i rozejrzałem się ponownie. Nic się niestety nie zmieniło. Nadal dookoła mnie było pełno wielkiej trawy. Jak to możliwe, że jest aż tak wysoka?

I co dzieje się ze mną? W tym momencie nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi na te pytania. Usłyszałem nagle głos. Trochę różnił się od ludzkiego. Jego właścicielem była jedna z mrówek zamieszkująca te tereny. Podeszła do mnie szybkim krokiem. Powiedziała, że już późno i czas do pracy. Tylko dlaczego ja mam im pomagać? Tak oto stałem się niewielkich rozmiarów insektem. Miałem dwie małe rączki i parę dużych czulek. Był to bardzo pracowity dla mnie dzień. Ciężko się trudziłem, nosząc rozmaite przedmioty. Oczywiście pod czujnym okiem samej królowej. Po całym dniu miałem zasłużoną przerwę. Wracając ochoczo do mrowiska, natknąłem się na wielki but. Nigdy takiego nie widziałem. Postanowiłem podejść bliżej. Nagle uniósł się głośny śmiech dziecka. Jak dla małej mróweczki był nie do zniesienia. Postanowiłem się nieco oddalić w obawie o swoje życie. Jak się okazało, była to moja młodsza siostra Jenny. Skoro ona tu jest, to pewnie w okolicy musi być też mama. Nie sądzę, że pozwoliłaby jej na samodzielne przechadzki parę mil od domu. Pewnie mnie szukają. Zresztą wiedzą, że lubię tu przychodzić i spędzać czas. Nieoczekiwanie Jenny zaczęła iść w moją stronę. Zacząłem uciekać, ile sił w nogach. Bałem się niezmiernie, że mnie rozdepcze. Dziwnie się czułem w tej sytuacji, bo kto normalny ucieka przed pięciolatką. Ledwo łapiąc oddech w płucach, wpadłem rozpędzony do swojego mrowiska. Niestety wprost na samą królową. Zakłopotany bałem się spojrzeć w jej oczy. Zmierzyła mnie z lekka wzrokiem, lecz pozwoliła się oddalić. Widziała jak mozolnie dziś wykonywałem jej rozkazy. Udałem się do swojej małej kwatery. Może nie były to salony, ale widok łóżka zrobionego ze skorupki orzecha i tak był bezcenny w tamtej chwili. Przykryłem się kawałeczkiem mchu, po czym zasnąłem. Obudziłem się w zupełnie innym miejscu. A moje pośłanie stało się mięciutkie i wygodne. Obok leżał kłębek wełny. Właśnie taki z jakiej babcia robiła nam wszystkim świąteczne sweterki. To była taka nasza rodzinna tradycja. Tak wróciłem do domu, lecz nadal nie będąc sobą. Byłem małym kotkiem o rudej maści i puchatym ogonie. Podслуchałem rozmowy rodziców, z której ewidentnie wynikało, że to mama mnie znalazła. O dziwo jakiś miesiąc temu. Dlaczego więc tego nie pamiętam? Wracając chłodnym wieczorem z pracy, usłyszała miauczenie w gęstej trzcinie. Podchodząc bliżej, dostrzegła pudełko. Odczuwała niepokój. Jednak coś podpowiadało jej, że może znajdować się w nim istotka, która potrzebuje pomocy. Ze względu na to, że nastał zmierzch, zabrała karton i udała się wprost do naszego bungalowu. Tata przywitał ją w drzwiach, mocno przytulając i całując w policzki. Widziałem ciemność. A moje oczka ledwo się otwierały na świat. Za zgodą mamy i taty, Jenny przygotowała dla mnie legowisko z miękkiego kocyka i paru poduszek. Moja siostra od zawsze chciała mieć takiego pupila. Jednak rodzice nie byli zbyt przekonani do tego pomysłu. Wiązało się to z tym, że kiedyś mieliśmy labradora Azyla. Wychowywałem się z nim, odkąd pamiętam. Nawet inni mówili, że widać jak silna więź nas łączy. Mama opowiadała mi, jak to co noc czuwał przy mojej kołysce. Gdy zaczął ciężko chorować, weterynarze nie dawali mu szansy na przeżycie. Nie wiedzieli dokładnie, jaka była przyczyna jego schorzeń. Niestety cała rodzina musiała któregoś razu podjąć bardzo ciężką decyzję. Umiłowany Azyl został uśpiony. Płakałem za nim przez dobre parę dni. Wszyscy tłumaczyli mi, że to było dla jego dobra. By nie musiał się dalej męczyć i mógł trafić do psiego nieba. A gdybym tak został tym kotkiem? Mógłbym całymi dniami wylegiwać się na kanapie i wygrzewać na słońcu. Za to Jenny byłaby po prostu w siódmym niebie. Po dłuższym czasie i rozmyśleniach postanowiłem poszukać czegoś do schrupania. Byłem straszliwie głodny. Może jakaś rybka na mnie czeka? Kto wie? Nie myliłem się zresztą. Koło lodówki stały dwie miseczki. W jednej już czekała na mnie smaczna rybka. O dziwo jako chłopiec nigdy nie lubiłem żadnego rodzaju ryb. Za to na sam zapach tej, aż mi ślinka pociekła. Zjadłem szybko, aż uszka mi się trzęsły. Następnie wybrałem się na spacer po naszym ogrodzie. Kto jak kto, ale ja dokładnie znałem każdy jego zakamarek jak własną kieszeń. Bardzo często koledzy do mnie przychodzili i wspólnie bawiliśmy się w podchody i chowanego. Spotkałem nawet inne miejscowe kotki. Były całkiem sympatyczne. Pokazały mi jak wspinać się na wysokie drzewa. Zwykle to kończyło się wieloma siniakami i zdartymi kolanami. Tym razem było mi o wiele łatwiej, a pazurki idealnie pomagały mi w tym. Zresztą każdy kot spada na cztery łapy. Gdy zapadł już zmrok, latarnie rozjaśniły przyrozny chodnik. Nowi przyjaciele postanowili odprowadzić mnie do domu. Jednak spokojny powrót do domu nie był nam pisany. Nieoczekiwanie z nieba zaczęły lecieć pięciogroszowe monety. Zatrzymałem się z niedowierzaniem, po czym energicznie sięgnąłem łapą w górę, by zebrać trochę monet. Niestety drobniaki wypadały z moich małych łapek. Wpatrując się w niebo, nie zauważyłem przeszkód na mojej drodze. Przez nieuwagę wpadłem do ogromnej kałuży. Próbowałem się z niej podnieść, lecz moje łapki ślizgały się na wszystkie strony. Takiego zwrotu akcji chyba nikt by się nie spodziewał. Podnosząc ponownie

wzrok ku górze, dostrzegłem zbliżającą się postać. Padający cień nie zdradzał jednak tożsamości osobnika. Poczułem, że grunt pod mną zaczyna się trząść. Z oddali zaś nadciągał coraz głośniejszy tupot. Nie dowierzałem, gdy tuż przede mną zatrzymał się jak gdyby nigdy nic potężny, brunatny słoń. Miałem wrażenie, że jego trąba sięga do nieba, a przy okazji zamienia się w rurę od odkurzacza. Kałuża, o której wcześniej wspomniałem, zniknęła w mgnieniu oka. Słoń jednym wdechem wciągnął stertę pieniędzy. Nie chciałem skazywać się na przedwczesną śmierć poprzez zdeptanie. Zaczęliśmy uciekać jak najszybciej w stronę domu. Docierając na miejsce, na pożegnanie jeden z nich podarował mi upolowaną wcześniej mysz, bym miał co zjeść na kolację. Ten dzień był tak ekscytujący, że zaczęło robić mi się smutno. Wiedziałem, że już jutro mogę stać się kimś lub czymś zupełnie innym.

Po zjedzeniu zdobyczy ułożyłem się wygodnie na fotelu i zasnąłem.

Otworzyłem oczy i niemal dostałem zawału. Znajdowałem się na koronie drzewa. Nadal nie byłem sobą. Miałem lęk wysokości, lecz po paru minutach cały strach ustąpił. Stałem się liściem. Wbrew pozorom nie takim zwykłym. Z racji, że była już późna jesień, każdy z liści nabierał kolorów. Jedne były czerwone, a inne żółte. Ja zaś mieniłem się w promieniach słońca, a moja barwa była połączeniem wielu kolorów, takich jak pomarańczowy, czerwony, brązowy czy żółty. Uznałem po jakimś czasie, że jeśli już tu jestem, to może zawrę nowe przyjaźnie z innymi liśćmi. Ni stąd ni zowąd zaczął wiać silny wiatr. Próbowałem trzymać się gałęzi z całych sił. Nie mogłem tak trwać długo, gdyż traciłem już na siłach. Oderwałem się i wirowałem na wietrze. Powiew wiatru unosił mnie wysoko nad ziemią. Czekano mnie jednak twarde lądowanie. Przerażony próbowałem wykrztusić z siebie chociaż słowo, lecz nie byłem w stanie. Zamknąłem oczy i powoli żegnałem się ze światem. Niespodziewanie poczułem, jakby tysiące igiełek wbiło się we mnie. Spadłem wprost na pancerz jeża, drepczącego w kierunku mojej ukochanej polany. Na horyzoncie spostrzegłem moją kuzynkę Lily oraz Jenny. Miałem nadzieję, że zabrają mnie stąd, bo nie chciałem zostać wygodnym pośłaniem dla małego ssaka. W tym czasie dziewczyny wygłupiały się jak zwykle, rzucając w siebie stertami liści. Robiły również kolorowe bukietiki. Pewnie podarują je swoim mamom. Powiew mocnego wiatru umożliwił mi ucieczkę. Oderwany od zwierzęcia spadłem na stos liści i leżałem wśród nich na trawie. Oczekiwałem aż i ja trafię do jednej z ich barwnych wiązanek. W sumie byłem dosyć okazałym liściem. Lily po upływie paru minut schyliła się i ręka sięgnęła za mój ogonek. Łącząc wszystkie satynową wstążką. Wędrowałem wraz nimi po okolicy. Już miałem powoli dość słuchania opowiadań dziewczyn na temat chłopców. Wróciliśmy do domu, a bukiet trafił w ręce mamy. Cieszę się, że Lily pamiętała, iż nasza mama ma dziś imieniny. Co roku udaje nam się zaskoczyć ją niezapomnianym prezentem. Szkoda, że i tym razem nie mogę być razem z nimi. Trafiłem do wazonu mieszczącego się w kuchni. Byłem już senny, moje powieki już opadały. Nie minęło kilka minut, a już spałem. Obudził mnie dźwięk mojego budzika. Gdy na niego zerknąłem, widniała już godzina 7:00. Nie dowierzając, stałem przed lustrem. Byłem znów chłopcem, tym samym Simonem jakim byłem przez 14 lat. Uradowany pobiegłem do kuchni. Od razu rzucił mi się w oczy widok uśmiechniętej mamy. Podszedłem do niej i wtuliłem się w jej ramiona. W powietrzu unosił się zapach pysznych naleśników. Nareszcie byłem sobą.

Tak oto zakończyła się moja historia z magicznym owocem. Oczywiście opowiedziałem rodzicom o wszystkim, co się działo w ostatnim czasie. Nawet zostawiłem parę pikantnych szczegółów kolegom. Niestety uznali, że to tylko moja bujna wyobraźnia. Zaś ja zrozumiałem jak ważna jest dla mnie moja rodzina i że warto dążyć do postawionych celów.